

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

6)

— A! kto im dopomógł?
 — Józefina.
 — „Pani Bonaparte“, proszę to sobie zapamiętać. Minęły czasy dyrektoryatu!
 — Doprawdy. Dziwnie pan dla niej uprzejmy, przy tem wszystkiem, co pana kosztuje. Zdradza pana... Przecież była obowiązana donieść o tej intrydze.
 — Masz rację. Wolę jednak dowiedzieć się od ciebie. Mam przez to w ręku panią Bonaparte... Tedy wczoraj trzej rojaliści byli w Tuileries...
 — W złotym salonie na parterze.
 — Kto ich wprowadził?
 — Saint Régeant dostał się z państwem Le-rebourg.
 — Wiem, wiem, to moi dostawcy. To i piękna Emilia zajmuje się konspiracją? Czy i miłością?
 — Tego jeszcze nie wiem. Jerzy i Hyde czekali w dziedzińcu pałacowym. Rapp po nich był posłany.
 — Pierwszy konsul wiedział już o tem? Jak długo byli?
 — Lerebourgowie do dziewiątej. Enisaryusze do jedenastej. A co do ich rozmowy...
 — Wiem dobrze. Żądali od konsula przywrócenia Burbonów i...
 Fouché zamknął i zaśmiał się:
 — I są do tyła naiwni, by wierzyć, że on dla innych będzie pracował!
 — A zatem...
 — A zatem, Braconneau, spróbuj go zgłodzić ze świata, jak to już niejednokrotnie próbował. Kto wie? Może im się uda wreszcie. I dla mnie i dla mych ludzi byłaby to sprawa niesłychanie przykra, gdyby bowiem stronnictwo Lucyana i Józefa wzięło górę, nie można być pewnym ani dnia, ani godziny...
 — Czy po pierwszym konsulu tak wiele się spodziewacie?
 — Nie, póki będzie konsulem. Lecz, jako cesarz nie mógłby się bez nas ruszyć, bo miałby przeciwko sobie i Jakóbinów i rojalistów? Wtedy nie wystarczyłaby mu policja wersalska.
 — A co możecie mieć od rojalistów?
 — To, co będzie szło w parze z ich osobistym interesem.
 — A od Jakóbinów?
 — Szafotu. Ci nie przebaczą.
 Tu umilkł szef policji i jego podwładny. Niebawem Fouché tępy wzrok utknął w Braconneau:
 — Nie spuszczaaj z oczu wszystkich trzech, a najczynniejszym specjalnie się zajmuj. Innych porucz pewnym ludziom i donos mi wciąż...
 Wprost z gabinetu przełożonego udał się Braconneau na Pont Neuf. Odnalazł na Quai de Orfèvres niepozorny domek, szybko wszedł na trzecie piętro, do drzwi zapukał po trzykroć z miarowymi przestankami, a staruszcze, która drzwi otworzyła, rzucił krótkie pytanie:
 — Listy są? Był kto do mnie?
 — Był wczoraj Leribier. Przyjdzie tu jeszcze. Co mu powiedzieć?
 — Sam się z nim zobaczę. Nuże, Wiktorio, wody do mycia, a żywo. Urać mi się pomożesz.
 Stara poszła do kuchni, wzięła kociołek w wodę i weszła do izby, w której na podstawach drewnianych widniało kilkanaście peruk, odpowiadających różnym typom, tak co do stanowiska towarzyskiego, jak i co do barwy włosów. W szafach ściennych wisiały rzędy przeróżnych ubiorów, a na toalecie roily się od przyborów do charakteryzacji, niczem w garderobie aktora. Braconneau wszedł tam jako czerstwy mieszczuch z krętymi włosami i zaniedbaną brodą, a wyszedł jako wyświeżony elegancik, wypudrowany, w stosowanym kapeluszu, z gietką laseczką w ręku. Wydał służącej rozporządzenia, wyjrzał i bacznie rozglądał się dokoła, poczem pośpieszył ku bulwarom. Sprężył się, młodzieńczym krokiem skręcił na ulicę l'Arbre sec, do zajazdu pod „Czerwonym Lwem“. Była jedenasta, w ludnej sali kończono śniadanie. Braconneau szybko minął jadalnię i wszedł do kancelaryi, gdzie żona właściciela siedziała nad rachunkami. Serdecznie ją powitał, a ona przyjaźnie się odezwała:

— Wieki już pan do nas nie zaglądał, panie kawalerze.

— Wyjeżdżałem na pewien czas, pani Brigard. Ledwo wróciłem, pierwsze me kroki tutaj... Czy zastałem ks. Valoris?

— Tss... nie księdza... — zniżonym głosem ostrzegła kobieta.

— Racya! kapitana. A zatem, kapitan jest?

— Dam mu znać o przybyciu pana.

— Tyle ostrożności! Czyż on stale się konspiruje?

— Należało podwoić ostrożność... Policja podejrzewa.

— Do diabła z policją! Za wiele o niej myślą.

— Cóż robić, panie. Fouché'go jakby opętało.

— Niech go piekło pochłonie! Ale oto i mój przyjaciel.

Młody człowiek, uśmiechnięty, żywy, w niebieskim stroju wojskowym podszedł do kawalera. Na krótkich włosach nosił trójkątny kapelusz. Zawołał dźwięcznym głosem:

— A! to kochany pan Lawernières! Jak się pan ma, drogi panie? Czy faraon zawsze sprzyja? A kobiety?...
 — Ej, kapitanie — Braconneau na to. — W cztery oczy zbyt częste odrywanie ról!

Valoris rozejrzał się dokoła i odciągając modnia na boki:

— Wyjdźmy — rzekł — na ulicę. Ma pan ważne nowiny?

— Ale to ja chciałem pana o nie zapytać; po to przybyłem.

Wracali na bulwary ulicą l'Arbre-sec.

— Mam zamiar niebawem opuścić Paryż i wrócić do Normandii — począł Valoris. — A ks. Brier porucił mi ważne poselstwo do komitetu w Casu. Nastrój ogółu jest za pokojem.

— Więcej się po naszych wodzach spodziewałem... Czyżby się nie udało porozumienie z Bonapartem i zniechęciło ich?...

— Skąd wiecie o tym kroku?

— E, Fouché wczoraj już przepowiadał, że nic z tego będzie. Nie tajne jest nikomu, że przez wdowę Beauharnais szef policji ma rychło i dokładne wieści. I Bourienne sprzedaje mu, nawet słono, tajniki polityczne Bonapartego... Ja zaś mam w jego najbliższym otoczeniu zaufane i wierne ucho.

— Istotnie, panie Lawernières, oddaliście nam ważne usługi. Trzykrotnie dzięki panu uniknąłem więzienia, panu zawdzięcza wolność Coster de Saint-Victor, który niebacznie wpadł w pułapkę... Mimo to, nie będę ukrywał się przed panem z uprzedzeniem, jakie do pana czują nasi ludzie, mimo mego życzliwego stanowiska... Jakże może mieć tak dokładne informacje, powiadają mi oni, jeżeli nie ociera się o wrogi obóz? Musimy przypuścić, mówią na to, że stara się o nie, a gdzie, to rzecz nie nasza: my z nich korzystamy. Bezwątpienia! Bezwątpienia! Lecz oni są nieufni. Są to istne lisy ścigane, żyjące z zasadzkami, podstępami, napaściami; wietrzą je wszędzie. Nie zgadzają się na zawarcie z panem osobistej znajomości.

— Czyż to możliwe? — zasepił się rzekomy Lawernières. — I po tylu dowodach przychylności! Co mam robić?

Przybyli na brzeg rzeki i zatrzymali się w miejscu, gdzie osiczyzny sięgały niemal środka wody. Sami byli. Na sto kroków dokoła nie dojrzeć nikogo. Valoris pochylił się zmartwiony ku przyjacielowi:

— Co robić? Jechać ze mną do Normandii, dowieść tam gorliwości. Tam będzie sposobność do złożenia dowodów. Skoro napadniecie kilkakrotnie na pocztę rządową, poturbujecie kilku żandarmów, będziecie uznani za swego i nie będzie już uprzedzeń. Jeżeli jednak będziecie się, jak dotychczas, kręcić wciąż dokoła naszych ludzi w Paryżu... Wówczas, mógłby się zdarzyć jakiś przypadek... Dziś, n. p. polecono mi sprowadzić pana tutaj — i — kulka w łeb!

I kapitan dobył z kieszeni pistolet, spojrzął na Braconneau tak grzecznie, iż ten zbliżył się:

— No no, Valoris! bez przykrych żartów! — mówiąc to, policjant jednocześnie nie spuszczał oka z wylotu lufy, grożącej o metr przed nim, i odruchowo szukał broni po kieszeniach.

— Gdybym was miał zabić, Lawernières, byłoby już po wszystkim. Uprzedziłem was, by oszczędzić waszego życia... Jeżeli jednak dobrze sobie życzycie, to zaniechajcie śledzenia nas. Wiecie, gdzie mnie znaleźć, jeżeli są ważne wiadomości. Nie zapominajcie, że nie tracą was z oka!... Jeżeli jesteście szpiegiem, o co was posadzają, to pamiętajcie, że u rojalistów zasypaliście się i robota wam się nie uda. Zajmijcie się Jakóbinami... Zegnam, pa-

nie Lawernières i przepraszam za strach, który panu napędziłem.

— Lecz podejrzeń nie mogę panu darować! A ja tak pana polubiłem!

— I owszem! Może mię pan lubić z daleka.

Valoris szybko zawrócił ku ludnym ulicom, a Braconneau powiódł za nim okiem i obmyślał plany na przyszłość:

— Trzeba tedy umieścić posterunek pod „Błękitnym Kołpakiem“ i zająć się pięknym Saint-Régeant'em. Inni straceni już dla mnie.

W małej salce za biurkiem gospodarza z pod „Złotego Lwa“, z góry tylko oświetlonej, zebrali się ci, których Braconneau tak poznać pragnął. Dokoła papierami rozrzuconego stołu rozmawiało z cicha pięciu ludzi. Jerzy przedewszystkiem bez surduta, bo tak mu wygodniej, Hyde, Saint-Régeant, markiz de Polignac i Coster de Saint-Victor, który mniemanemu Lawernières'owi zawdzięczał uwolnienie z lochów opactwa. Ksiądz Valoris wszedł cicho, bez pukania: pocisnął jeno sprężynę, ukrytą w ścianie.

— I cóż z nim? — zapytał Hyde.

— Odczepił się, lecz głupią miał przy tem minę. Pewny jestem, że już nie wróci. Lepiej byłoby palnąć w łeb, lecz Saint-Régeant nie zgodził się na to... Lokal należy teźwzłocznie zmienić. Po południu Fouché będzie już wiedział o wszystkim i naśle nam innego agenta. Znam dobrze na ulicy Dragon, w dzielnicy Augustyńskiej dom, w którym mieszka modniarka, Wirginia Grandeau, oddana sprawie. W jej mieszkaniu, za kuchnią, w murze wewnętrznym są dwa kratki, małe zakamarki, trudne do odkrycia. Nawet nie wszyscy mieszkańcy domu wiedzą o ich istnieniu... Ksiądz Elgworth, spowiednik króla-męczennika i monsignore de Carbonnières, krył się tam bezpiecznie całe pół roku. Nalegam na to, by Cadoudal, Hyde i Saint-Régeant dziś jeszcze się tam udali.

— To się zaraz pokaże — szorstko odparł Jerzy. — Należy przedewszystkiem rozstrzygnąć kwestye zasadnicze. Ten Bonaparte postanowił zagarnąć Francję na swą wyłączną korzyść. Upadła wszelka nadzieja porozumienia. Działać musimy. Co zamierzacie?

— Niema dwu zdań — oświadczył Saint-Régeant. — Usunięcie pierwszego konsula jest niezbędne.

— To znaczy, zabójstwo — dodał Polignac.

Zamilkli wszyscy. W grę wchodziło życie zwycięzcy z Rivoli, z Arcole, z pod Pyramid. Nie mogli się, mimo całej dzielności oprzeć wrażeniu. Lecz Jerzy nie ulękł się łatwo. Brwi ściągnął i zapytał:

— W jaki sposób chcecie go zabić, bo sposobów jest wiele. Moznaby napaść nań z pistoletem, lub ze sztyletem, ale ta droga nie trafia mi do przekonania. Jest coś małego, brak szerokiego, dostojnego gestu sprawiedliwości. A nadto, można chybić, a to nie byłoby pomyślne. Lepiej nic nie przedsiębrać, niż odejść z niczem. A jakby to było fatalnie ranić go tylko, lub nawet nie ranić. Popularność jego zyskałaby tylko na tem. Nie, w napadzie szanse tryumfu muszą być równe po obu stronach. Ja ofiaruję się dowodzić wyprawą.

— Powiedziecie, Jerzy, jak się do tego zabieracie — zapytał Hyde i wsparł się na łokciu, by uważniej słuchać.

— Oto tak. Sprowadzę z Bretanii do Paryża małe paczki, różnymi traktami, w przebraniu przekupniów i robotników, trzydziestu strzelców królewskich. Nim tu staną, postaram się o mundury gwandy konsula, zakupię odpowiednią ilość koni, jakoby dla remontu garnizonu wersalskiego i umieszczę je pod Paryżem, n. p. w Monrouge, u pewnego człowieka. Będę oczekiwał podróży pierwszego konsula do Saint Cloud i w Sévres, lub w Boulogne umieszczę czaty. Bonaparte nie ma nigdy straży liczącej powyżej dwunastu ludzi. Na gościńcu znajdę mu drogę, a dzięki mundurom, będę mógł podejść blisko i dostać w ręce, nim ochłona ze zdziwienia. Z szablą w ręku wyzywę Bonapartego. Bóg nas rozsądzi. Ręczę, że go dostanę.

— Bardzo romantyczny pomysł — uznał Coster. — Lecz z takim człowiekiem rycerskość nie ma miejsca. On ma psie szczęście i wymknie się wam, Jerzy! Albo będzie miał przy sobie szwagra, Murata, a ten już tak rozprawi się z wami, że zjecie diabła, nim sobie dacie radę. Czy wiecie, że ten zbój bił się na szable z mamelukami Murada i jego krótka szabla wzięła górę nad ich krzywymi. Nie, nie! Myśl o czemś pewniejszym i praktyczniejszym. Wynik pojedynku byłby niepewny. Moglibyście być denuncjowany, konsul może mieć przypadkowo szwadron dragonów, miast garstki gwardzystów. Zmiotą was może jego żandarmi, nim go ujrzye. Na trzy-